

WŁADYSŁAW REYMONT



TOM
I

FERMENTY

WŁADYSŁAW REYMONT



FERMENTY

TOM
I

 SAGA
EGMONT

Władysław Stanisław Reymont

Fermenty. Tom I
PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRETEM AUTORA
TOM X

Saga

Fermenty. Tom I

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1897, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728053683

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

I.

— Depesza od doktora; przyjedzie towarowym o pierwszej; pan naczelnik go wcześniej widocznie zamówił?

— Co to pana obchodzi! — mruknął zawiadowca drogi, odbierając depeszę.

Telegrafista cofnął się, zmieszany nieco, do telegrafu, usiadł przy aparacie, zatopił długie, chude, nerwowe palce w jasnych jak len włosach i zapatrzył się przez okno w zamglony, jesienny dzień. Cisza się rozlała i zdawała się zatapiać całą stację w nudzie, zimnie i wilgoci. Deszcz płókał szyby z jednostajnym, usypiającym brzękiem i jakby związywał niebo i ziemię miliardami szarych skośnych włókien, a zegar, umieszczony w wysokiej szafce i mający cyferblat nazewnątrz stacji, cykał z okropną monotonią.

Telegrafista nie mógł usiedzieć na miejscu, wstał i chodził na palcach, spoglądając z pewną obawą na drzwi otwarte do pokoju zawiadowcy, to na peron przemiękły, szklący się wodą, to, z czołem na szybie drzwi wspartem, słuchał dźwięków fortepianu, płynących niby słaby szmer z piętra stacji — ale odchodził zaraz, bo te równe, jednostajne rytmy, wybijane ciągle wkółko, denerwowały go jeszcze bardziej. Usiadł znowu przy aparacie i zaczął pisać list.

„Mamusiu! Tak się nudzę, droga mamu, że aż mi się w tej chwili płakać zachciało. Jest tak mokro, tak zimno, tak brzydko, że mię ogarnia rozpacz. Mamu, czy ja długo będę musiał siedzieć w tym Bukowcu? Bo, przy tem wszystkiem, czuję się bardzo niezdrowym. Wczoraj zaczęło mi strzykać pod lewą łopatką, roztarłem kamforą i przeszło — ale

dzisiaj język nieco obłożony i nic a nic nie mam apetytu, chociaż ta kaczka, którą mi mama przysłała, a szczególnie nadzienie było pyszne. Koszyczek odsyłam i sześć par mankietów brudnych i kamaszki do podzelowania. Może mi mamusia kupi i przyśle rękawiczki lapis, z czarnem wyszyciem. Wie mamusia, dzisiaj rano tak się zgryzłem, że bałem się, aby mi to nie zaszkodziło, bo ta Andrzejowa zbiła te zielone żabki, co to wuj przywiózł mi z Wiednia, pamięta mama? A były takie śliczne i ogromnie się wszystkim podobały. Mamusiu! a flanelowy kaftanik, to jużby warto mieć, bo lada dzień mogą być przymrozki — myślę, że nie potrzeba kupować nowego, bo tamten...”

Ukrył list pod papiery, aparat zaczął przywoływać gwałtownie, a później wybijał znaki na wąskim pasku papieru, który się odwijał z krążka. Telegrafista czytał uważnie, gdy od peronu wszedł dozorca drogowy, Świerkoski, brunet, wysoki, chudy, z rzadkim zarostem i niespokojnymi czarnymi oczyma, nieco pochylony, w krótkim, jasnym kożusku, w długich butach i kapuzie nieprzemakalnej na głowie.

— Amis! no pójdź piesku! Amis! no złotko, chodź do pana, chodź! — wołał pieszczotliwie na psa, który stanął przed drzwiami, bojąc się wejść, usiadł na stopniach, niespokojnie patrzył na pana i kręcił ogonem.

— Zamykaj pan drzwi, bo zimno!

— Amis, psie jeden! — krzyknął Świerkoski; pies zaskowyczał żałośnie, przypłaszczyl się i wolno zaczął czołgać się do jego nóg. Świerkoski schwycił go za grzbiet i wrzucił do telegrafu. Pies tylko zapiszczał i z niesłychanym pośpiechem wcisnął się pod ceratową kanapkę, na której usiadł Świerkoski zły i pochmurny, jak odbicie tego październikowego dnia. Świerkoski złamał się we dwoje, zupełnie jak scyzoryk się zamknął, bo położył twarz na pięściach, wspartych na kolanach, i siedział czas jakiś w

milczeniu, oczy mu niespokojnie biegały po podłodze, zarzuconej mundsztukami papierosów, kilka razy uderzył o brązową skrzynkę, na której bielił się napis: „Środki opatrunkowe. „Stacja Bukowiec“, i znowu goniły, to jakieś ostatnie muchy, leniwie wlokące się po podłodze, to za butami telegrafisty, które co chwila zmieniają pozycję, to patrzyły w zwichrzoną górę papierowej wstążki, która wciąż spływała z krążka na ziemię, wreszcie cmoknął cicho na psa. Amis wysuwał popielaty łeb trwożnie, ale, jakby zbierając całą odwagę, skoczył na kanapkę i zaczął go lizać po twarzy.

— Precz! tam!.. — syknął Świerkoski, wskazując drzwi. Pies poszedł wolno, usiadł przy drzwiach i żałośnie, prawie błagalnie, patrzył się piwnymi oczyma. Świerkoski nieznacznie wyjął z zanadrza kawał skreconego rzemienia, spoglądał pieszczotliwie na psa, uśmiechał się łagodnie i szeptał:

— Amis! chodź synku, chodź! — Pies przybiegł w radosnych susach. Schwycił go za kark i zaczął bić rzemieniem. — Będziesz złotko słuchać pana, co? Synek będzie słuchał, co? Amis będzie posłuszny, co? — Pies szarpał się i skomlał rozpaczliwie, po jego skórze, pokrytej krótkim, popielatym włosem, lśniącym jak jedwab, przebiegały dreszcze, niby fale, wyginał się, lizał buty pana, prosił się oczyma, ale Świerkoski wpadł w pasję i bił go coraz zacieklej. — A będziesz cicho synku, co? a zmilkniesz przyjacielu, co?

— Co pan robisz? Przysięgam Bogu, że chwili spokoju niema — zawołał zawiadowca, wybiegając ze swego pokoju. Popatrzył groźnie i cofnął się, zatraskując ze złością drzwi za sobą.

— Idjota! — mruknął Świerkoski, puścił psa, schował rzemień i rozprostował się. Pies lizał sobie skórę i spoglądał chwilami wylęknionym wzrokiem z kąta, w którym leżał.

Świerkoski zapalił papierosa, skubał rzadką brodę, uśmiechał się przyjacielsko i z jakąś dziką miłością do psa i spoglądał w okno, na plant, gdzie kilkunastu robotników, z głowami pozawijanymi w worki, z których porobili sobie kapuzy, podbijało podkłady.

Długie milczenie przerwał telegrafista, bo aparat zamilkł:

— Co? porządny deszcz?

— A porządny.

— Błoto duże?

— A duże.

— Okropny październik!..

— Okropny październik — odpowiedział jak echo

Świerkoski.

— A co to będzie w zimie?

— Zima.

— Ja teraz już wytrzymać nie mogę, nudy takie, że chyba się wścieknę.

— Tylko pan później nie pogryź mojego Amisa — szepnął drwiąco Świerkoski.

Pies na dźwięk swojego nazwiska zaskomlał cicho i położył się u nóg pana.

— Psia służba. Ani gdzie wyjść, ani ludzi, ani rozrywek.

— Przecież pan bywasz u tego... Grzesikiewicza — powiedział z przyciskiem.

— Tak, ale... młody Grzesikiewicz, pan Andrzej, chociaż nie z mojej sfery, ale wyjątkowo porządny człowiek, to znowu rzadko go można zastać w domu, a wpaść w ręce jego ojca, prostego chłopca— dziękuję. Prowadzi zaraz do karczmy, częstuje wódką i kiełbasą, sprasza całą wieś, funduje wszystkim, a jak się upije, zaraz całuje— otrząsnął się nerwowo i splunął z obrzydzenia. — Myślałem ostatnią razą, że zemdleję, tylko, że noszę z sobą zawsze eter, więc się orzeźwiłem i uciekłem spiesźnie.

— Pan jesteś bardzo delikatny— powiedział cicho i błysnął urągliwie oczyma Świerkoski.

— To jest bardzo naturalne; nie wychowywałem się przecież w chałupie, ani nad rynsztokiem.

— Wiemy tu wszyscy o tem, a jakże, że w salonach, w atłasach, w złożonych kołyskach, przy mamie, przy wujaszku, z niańką, z boną, z doktorem, Felusiem, jak mój Amis — drwił z jakąś złością Świerkoski i patrzył na niego nienawistnie.

— O tak, tak— odpowiedział z pewną dumą telegrafista — ale nie wiem doprawdy, co w tem jest śmiesznego, że pan kpisz, bo przecież, że pan się tak nie chowałeś, to cóż ja temu winien, zresztą taka nierówność jest konieczna, bo...

— Tak, konieczna— przerwał mu spiesźnie — bo później się wszystko wyrównywa, bo później taki atłasowy Stasio, jak pan, panie Babiński, musi służyć, musi robić, po nocach nie sypiać, oczki wyteżać i pobierać taką malutką pensyjkę, i zasmucać mamę, że się nudzi, i że mu się buciki podarły! hi! hi! hi! — zakończył śmiechem przykrym, jęklwym, ostrym jak zgrzyt stali po szkle.

Stasio się zarumienił jak dziewczyna, oczy mu się zaszklily łzami jakiejś żalości, blado-różowe, wypukłe usta drżały nerwowo, ale nie odpowiedział, rozpiął tylko kołnierz munduru, powąchał eter, który nosił przy sobie i zagadnął łagodnie.

— Może pan masz jakie książki do czytania?

— Nie! nie mam pieniędzy na głupstwa — rzekł szorstko.

Stasio popatrzył na niego z dobrotliwym politowaniem i znowu zmienił przedmiot rozmowy.

— Przyszedł dzisiaj w nocy bagaż dla pana z Warszawy.

— Przyszedł — zawołał radośnie Świerkoski, podnosząc się. — Nie uważałeś pan, czy aby w rogożach?

— Tak, doskonale zapakowany. Kupiłeś pan co?

— I... nie... nie... skądbym wziął pieniędzy, dostałem od familji; — mówił śpiesznie, rzucając niespokojnie oczyma — jakiś stary grat, którego przewóz kosztuje mnie tyle, że jestem zły, iż go wziąłem.

Aparat zaczął stukać, Stasio znowu czytał z pasków, potem wstał, wyszedł na peron, uderzył w dzwonek stacyjny i cofnął się natychmiast.

— Sygnały od Kielc, pociąg wyszedł— rzucił robotnikowi, który się zjawił na dzwonek.

— Chodź pan na wódkę! — szepnął miękko jakoś Świerkoski.

— Po pociągu to i owszem, chociaż, coprawda, wódka mi szkodzi.

— Co tam, mama przyśle lekarstwo! — Zaśmiał się i poklepał go przyjacielsko po żołądku, bo, pomimo ustawicznych drwin, żyli w zgodzie ze Stasiem.

— Słyszysz pan! zawiadowca rozmawia z sobą.

Zaczęli słuchać. Z pokoju Orłowskiego dochodziły wyraźne głosy sprzeczki, czasem jakiś dosadny frazes, klątwa; to znowu przyciszony, pokorny i błagający głos.

OIdjota! musiał się pomylić i sam sobie wymyśla i usprawiedliwia się przed sobą. Jeżeli jego nie zamkną u Bonifratrów, to ja, Świerkoski, będę miał miljony. Pan go nie znasz jeszcze dobrze, ale my...— Nie skończył mówić, bo Orłowski wyszedł do nich ze swego pokoju; był ogromnie wzburzony, wielkie, czarne oczy, o krwawym odbłasku, pały mu wzruszeniem, twarz o rysach regularnych, jeszcze bardzo piękna, jakby wycięta z dawnych portretów senatorów weneckich, malowanych przez Tintoretta, otoczona gęstemi, szpakowatemi włosami i zakończona wspaniałą, spływającą do pól piersi brodą, dumna i zacięta, z brwiami prawie zrośniętymi, była aż sina z jakiejś irytacji. Przeszedł obok nich bez słowa i wyszedł na korytarz.

Szedł wolno na piętro kamiennymi schodami, zaciskał ręce, mruzczał niewyraźnie, to znowu pobłażająco i wyniośle uśmiechał się.

Wszedł do kuchni, obrzucił badawczo wszystkie sprzęty, zajrzał do ognia pod blachę i przytłumionym głosem zapytał starej służącej, obierającej kartofle pod oknem:

— Panna Janina śpi?

— Nie wiem, ale to *chybikiem* obaczę.

— Nie trzeba— powiedział spieszenie i wszedł do sąsiedniego pokoju, który służył za jadalnię, i przez zapuszczone kotary zajrzał do sypialni córki. W ciemnościach, zaledwie słabo rozrzedzonych pasmami brudnego dnia, przeciekającymi przez zapuszczone story, po chwili patrzenia dostrzegł łóżko i blade, niepewne zarysy Janki leżącej. Musiała usłyszeć szelest jego kroków, bo się poruszyła na pościeli. Poczul jej wzrok na sobie i natychmiast się cofnął zmieszany. Stał jeszcze chwilę, podniósł koniec brody do ust, przyciął ją zębami i powrócił do kancelarii. Zastał tam Karasia, maszynistę rezerwowego, który mieszkał w Bukowcu, bo tu była rezerwowa maszyna, gotowa w każdej chwili wyruszyć z pomocą, gdyby było tego potrzeba, skinął mu głową i wszedł do swojego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

— Świerk! wiesz! — zaczął Karaś, siadając na skrzynce ze środkami opatrunkowymi — jesteś codziennie podobniejszy do swojego psa, nawet już płowiejesz. Panie Babiński, pan jesteś grubo uczony, skończyłeś podobno całe trzy klasy; czy Darwin wywodzi ludzi od małp, czy od psów?

— W każdym razie nie od Karasiów.

— Nie jestem godzien takiego zaszczytu, nie jestem godzien! — śmiał się Karaś, zacierał ręce i zaczął drobnymi kroczkami chodzić. Jego drobna, chuda i niska postać, śpiczasta bródka, cienki i długi nos, małe i kłujące oczki, wypukłe bardzo czoło, rzadkie, rudawe włosy, wystające

kości policzkowe, sine z odmarznięcia uszy, jego cienkie nogi — wszystko to się trzęsło, skakało i poruszało ustawicznie, zdawało się, że wszystkie jego członki, obciążone w gruby kożuch, pokryty wyksatyną błyszczącą, zasmarowane oliwą i smarowidłami, skaczą ustawicznie i grożą rozsypaniem.

— Nie masz pan jakiej nowej książki? — spytał go Staś.

— Mam, wczoraj dostałem, ale jeszcze czytam. Bon! pożyczę panu, kapitalna historia i z takim pieprzykiem, jak to my lubimy, panie Stanisławie. — Zaśmiał się, zatarł ręce, zaczął błyskać oczyma, wyszczerzył zęby i znowu biegał po pokoju.

— Uważasz pan, jest tam schadzka miłosna, cudissimo pisana, aż się krew gotuje przy czytaniu; musisz się pan rzeźwić eterem, albo lepiej pan zrób, przyłóż sobie przed zaczęciem książki synapizmy z chrzanu.

— Dziękuję, takich książek nie czytam — odpowiedział Staś, rumieniąc się.

— Bon! dziewczątko anielskie, gołąbku niewinny, bardzo słusznie robisz, napij się lepiej mleczka, wysmaruj kamforą, połóż do łóżka i czytaj z Tańskich Hofmanową, to dobrze robi i na sen, i na trawienie. Żarty na stronę — dodał poważniej. — Zaleska musi mieć książki jakie, przecież to kobieta i piękna, i wykształcona, jak zapewnia jej mąż.

— Ślicznie gra na fortepianie — wtrącił Staś i znowu się zarumienił.

— Nie rumień się pan tak dziewiczo, afekty umieściłeś pan godnie; to mi się podoba.

— Jak na marnego Karasia, jest to za duża ryba, wielki szczupak zgryzłby cię.

— Nie bój się, Świerkoski! nie bój się! nie takie wieloryby ogryzałem, i było bon.

Zaczął zacierać ręce i śmiał się tak cicho, głęboko i wstrętne, że Staś odwrócił się od niego; nie mógł patrzeć

na jego oczki, przysłonione białawą mgłą, i na rzadkie, żółte i ostre zęby, które wyszczerzał w tym śmiechu. Trząsł się cały i rzucał na wszystkie strony.

— Wiecie — zaczął znowu, uspokoiwszy się— byłem wczoraj w Kielcach, miałem przygodę taką, że... cudissimo, opowiem wam, bon?

— Nie ciekawiśmy, schowaj dla swojej Karasicy, będzie wdzięczna— przerwał mu Świerkoski.

— Pociąg dochodzi! — zawołał robotnik, uchylając drzwi z peronu.

Orłowski w czerwonej czapce wyszedł, naciągnął niepokalanie białe rękawiczki i poszedł na peron.

Karaś stanął na stopniach przed dworcem. Świerkoski znowu się złożył w dwoje, a Babiński stukał w aparat, notował, dawał sygnały elektryczne.

Pociąg z głuchym szumem i sapaniem wtoczył się na szyny i stanął; masa żelastwa szczęknęła ciężko, pusty peron ożywił się nieco, bo kilku smarowników i brekowych zeszło ze swoich odkrytych kozłów na wagonach i rozprostowywało na ziemi pogięte ciała.

Orłowski, chmurny, pod parasolem, spacerował wzdłuż pociągu; chwilami, kiedy przechodził pod oknami, z których nieskończonym potokiem płynęły gamy chromatyczne, ściągał nerwowo brwi, zaciskał silniej parasol, przyspieszał kroku i spoglądał na ostatnie, narożne okna nad kancelariją stacyjną, przysłonione szczelnie. Wzdychał, zawracał i chodził dotąd, aż pociąg znowu zaczął sapać, dyszeć, trzeszczeć, szczekać, gwizdać— i powlókł się dalej, pozostawiając za sobą obłoki rudego, duszącego dymu, który darł się na strzepy o półnagie drzewa ogródka stacyjnego i rozwłóczył rudawym pasem po równo obciętej ścianie lasu, stojącego tuż nad plantem.

Orłowski powrócił do kancelarii i, skoro się tylko zamknął, Świerkoski się podniósł.

— Chodźcie na wódkę.

— Ja zaraz przyjdę do was; spytam się tylko, gdzie jest osobowy?— powiedział Staś, stukając aparatem.

Karaś ze Świerkoskim poszli do bufetu. Paru przemokłych żydów drzemało na ławkach, oczekując na osobowy pociąg, a za bufetem, wciśnięty pomiędzy szafę i piec, przysłoniony gazetą, chrapał głośno bufetowy. W drugim rogu wielkiej, brudnej sali kilku dróżników i robotników grało zatłuszczonymi kartami.

Przeszli do drugiej sali pustej zupełnie.

— Twoje zdrowie Świerk, i twojego konia, i twojego psa, i twoich szwindlów, bon!

— Zaczekaj, zaraz przyjdzie Babiński, to wypijemy razem.

— Bon, ale powiedz-no, podobno się żenisz, czy tam coś takiego z p. Zofją?

Świerkoski się skrzywił, poskubał bródkę, pobiegał oczyma po sali, wsunął ręce w rękawy i mówił:

— I... co ja dałbym jeść żonie? żwir i podkłady chyba?

— No i mech, jak swojemu koniowi!

— Śmieję się... przecież jesteś żonaty i wiesz, co kosztuje żona, chociaż twoja to jeszcze anioł.

— Bon, kwadratowy anioł, powiedz.

— A te wszystkie panny, co to jest? gdzie znajdziesz zdrową? gdzie jest mądra, ładna, gospodarna i oszczędna? Jak się znajdzie jaka podobna, to nie ma grosza; jak znowu go ma, to nos do góry i myśli, że królowa, a jakie wymagania!

— O tak, chcą jadać, muszą chodzić w bucikach, mieć suknię, potrzebują czasami jakiej przyjemności, chcą żyć po ludzku; szelmy te panny, czego im się zachciewa!.. a przytem nie lubią, aby je bić, jak psa albo chłopów... — zaśmiał się Karaś.

— Gadanie, żebym miał na to, to i ja żyłbym po ludzku, a jeśli oszczędzam, jeśli chcę znaleźć także żonę oszczędną, to tylko dlatego, żeby później żyć po ludzku. O, ja jeszcze będę inaczej żył, będę... Wiesz, znam tutaj tylko jedną pannę, z którąbym się choćby jutro ożenił, chociaż wielka pani...

— Czy też Grzesikiewicz ożeni się z zawiadowcy córką?

Świerkoski rzucił szybkie spojrzenie na niego, zgiął się, ręce głębiej wsunął w rękawy i nie odpowiedział, bo to przypomnienie Grzesikiewicza przejęło go złością i niechęcią.

Przybiegł Stasio i zaczęli pić wódkę.

— Muszę się spieszyć, bo trzeba korespondencje ekspedjować na osobowy.

— Bon, ale jest jeszcze jedno źródło książek, panna Orłowska.

— A, ta, co się truła; nie znam jej zupełnie i widziałem tylko wtedy, kiedy ją przenoszono z wagonu do mieszkania.

— To pan nie znasz całej historii? bon, opowiem.

— Bardzo mało, wiem tylko, że się pogniewała z ojcem, wyjechała do teatru, później się truła, sam nawet o tem czytałem w pismach. Byłem już w Bukowcu, jak zawiadowca jeździł po nią do Warszawy. Co to za panna?

— Warjotka, jak i jej ojciec— szepnął Świerkoski.

— Ale piękna i wykształcona, bardzo piękna, majestatyczna kobieta, kształty cudowne, wzrok wspaniały, oczy ogromne i ogniste, cudissimo, że tylko całować.

Zaczął się trząść i śmiać cicho i zacierał ręce.

— Wartoby tak jeszcze coś tego chlapnąć. Panie bufet, sześć mocnych.

— Czemuż odrazu sześć?

— Będzie bon, panie Stasiu, na zapas.

— Słuchajcie no — zabrał głos Świerkoski, podnosząc głowę z kolan. — Chcę wam coś zaproponować, niezły

interes, na którym możemy dobrze zarobić.

— Bon, Świerk, mów.

— Jest do kupienia poręba, niewielka, za tysiąc pięćset rubli, blisko kolei, oglądałem ją niedawno. Śmiało można zarobić na niej tysiąc rubli, mam nawet już zbyt na drzewo do Radomia. Weźmy ją do spółki, interes złoty.

— I... to już weź sam, nie mam pieniędzy, a zresztą orznąłeś mnie zimą na węglach, daj spokój, ja wiem, nie tłumacz się, bo ci powiem, czem jesteś...

— O powiedz, ja się nie pogniewam, z pewnością się nie pogniewam...

— Bon! otóż wyszedłeś ze mną, jak świnia, tak... bufet! sześć mocnych!— krzyknął.

— Tylko tyle, to niewiele — i Świerkoski zaczął się śmiać, ścigał na lewą stronę usta, skubał brodę, latał oczyma po twarzach i dalej ciągnął:— tak, to niewiele, bo mogłem się urządzić lepiej, a nie zrobiłem tego, to handel, mój kochany.

— Łajdactwo, powiedz! handel ładny, przez trzy miesiące straciłem trzysta rubli, które przeszły do twojej kieszeni, któreś mi wyciągnął.

— Kupmy porębę, to będziesz się mógł odbić, jeśli potrafisz...

— Gdzież ta poręba? przystępuję do spółki!— zawołał po chwili namysłu Karaś.

— W Karczmiskach u Grzesikiewicza— szepnął śpiesznie Świerkoski, oczy mu zamigotały radością, pogłodził psa.

— Hi! hi! tydzień temu Szczygielski kupił i już tnie... hi!.. hi!..— śmiał się Karaś, porwał się z krzesła, zaczął biegać po sali, trzęsąc się cały, zadowolenie malowało się w jego oczkach.— Bufet! sześć mocnych! — rzucił we drzwi. — Powiem ci, Świerk, że chcesz robić interesa, a głupi jesteś, chcesz okpiwać ludzi, a głupi jesteś, bo się prędko zmiarkują, robisz łajdactwa, ale małe, marne, głupie, które pachną kratką...— Wypił wszystkie sześć kieliszków jeden

po drugim, zatarł ręce, poklepał drwiąco Świerkoskiego po plecach i wyszedł razem ze Stasiem.

— Zobaczmy... zobaczmy... — szepnął Świerkoski. — Łajdactwa, co za łajdactwa? chcę zarobić, chcę mieć pieniądze, więc niech się głupi strzegą. Amiś! chodź synku! Podły ten Szczygielski, taka pyszna poręba.— Kopnął psa z gniewu, bo straszny żal nim zatargał, że stracił ten na pewno przewidywany zarobek.

Odebrał z magazynu swój bagaż i naładował na plecy robotnikowi, za którym szedł krok w krok. Staś z okna kancelarii widział, że co chwila Świerkoski obmacuje rogoże i głaszcze. Widział go długo, jak szedł tym swoim krętym, wilczym chodem, rzucając dookoła nieufne spojrzenia.

— Chodź pan, podyktuję panu raport — zawołał Orłowski.

Staś przyszedł do pokoju zawiadowcy i czekał, bo Orłowski chodził wzdłuż pokoju, spoglądał w dwa okna peronu, to przez okienko kasowe, wychodzące na korytarz, wychylał głowę i nasłuchiwał.

— Siądź pan przy moim stoliku.

— Przecież...

— Nie przecież, bo tamten, to stół ekspedytora.

Orłowski był zawiadowcą stacji i załatwiał czynności ekspedytora.

— Wszystko jedno chyba, skoro pan pełni obie służby.

— Przysięgam Bogu, że mnie pan irytujesz. Nie wszystko jedno, bo wiedz pan, że napiszemy raport na ekspedytora stacji Bukowiec— mówił zupełnie poważnie. Babiński ze zdumieniem spoglądał na niego.

— Panie, sam na siebie raport, co w dyrekcji powiedzą?

— To są głupcy. Porządek, przede wszystkim porządek i systematyczność, słyszysz pan? Gdybyś się pan trzymał tych zasad, nie zwracałbyś uwagi swojej zwierzchności.

Staś opuścił głowę i wyrzucał sobie, że go zadrasnął: tyle razy postanawiał o nic nie pytać, ślepo tylko wykonywać rozkazy, i znowu nie wytrzymał.

— Pisz pan!

„Jako-że pełniący obowiązki ekspedytora st. Bukowiec swoim nietaktownem, a można powiedzieć i brutalnem, postępowaniem przy sprzedaży biletów spowodował to, że pasażerowie zanieśli skargę do księgi zażaleń, którą przy niniejszem załączam, upraszam Wysoką Dyрекcję o ukaranie według uznania, a to w celu uniknięcia na przyszłość podobnych zajść. Jako jedyne usprawiedliwienie ekspedytora, tenże objaśnia, że zajścia owe miały miejsce podczas niebezpiecznej choroby jego córki, która go jakoby miała zdenerwować. Sądzę jednak, że tego rodzaju usprawiedliwienia pod uwagę brać nie można, bo nikogo, ani Dyрекcji, ani pasażerów, nie obchodzą domowe sprawy urzędników, które nie powinny mieć żadnego wpływu na ich czynności służbowe“.

— Ależ panie...— protestował Staś.

— Cicho pan bądź! Przysięgam Bogu, bez uwag, panie Babiński. Zapomniałeś pan, że się milczy wtedy, kiedy zwierzchność mówi— zawołał Orłowski.

Babiński zamilkł, przygryzając usta, znowu był zły na siebie.

— Dochodzi! — krzyknął posługacz przez drzwi.

II.

Staś pobiegł do aparatu, a Orłowski na peron. Przypatrując się dosyć licznej dzisiaj publiczności, witał się z jakimiś paniami, za którymi w przyzwoitem oddaleniu chodził uliberjowany lokaj, ale, spostrzegłszy doktora, zwrócił się do niego i przywitał w milczeniu; raportem skinął, dzwonek zadźwięczał, rozległa się gwizdawka prowadzącego, a później maszyny, i pociąg ruszył dalej.

— Czekałem na ciebie niecierpliwie, przysięgam Bogu, dobrze, żeś przyjechał. Jance jest lepiej, ale zobaczysz to i powiesz mi, bo ja przypuszczam tylko, że lepiej, a nie wiem. Pójdiesz zaraz do niej?

Doktor skinął głową potakująco, bo na ustach miał respirator, który mu bladą, długą i chudą twarz przecinał na dwoje czarną wstęgą; olbrzymie, głębokie kalosze ledwie ciągnął z nogami, ugiął się pod futrem, na które miał narzucony płaszcz gumowy, i pod grubym kraciastym pledem, przykrywającym mu ramiona. Szedł wolno po schodach, odpoczywał i odpinał co stopień jeden guzik u płaszcza i jeden u futra. Nie rozebrał się w przedpokoju, tylko wszedł do saloniku i zaczął oglądać i próbować okien, drzwi i lufcików, czy są dobrze pozamykane.

Orłowski już z przed kotary, zasłaniającej drzwi pokoju, w którym leżała Janka, zawrócił i poszedł do służącej.

— Niech Janowa powie pannie Janinie, że doktor przyjechał. Czy przyjąć może?.. Zaczekaj chwilę, służąca ci zaraz powie — zwrócił się do doktora, który z pomocą Rocha, stacyjnego popychadła, rozbierał się z niezliczonych

okrywek.— Pójdę na chwilę do kancelarji. Przyślij po mnie, jak skończysz.

Określił się kilka razy po pokoju, popatrzył na doktora, szybko podniósł koniec brody do ust, strzepnął ją, wzruszył ramionami i wyszedł.

— Panie Babiński, napiszemy raport. Niech teraz sam od siebie broni się ekspedytor.

Zaczął dyktować Stasiowi, ale co chwila przerywał, stawał na środku pokoju, przygryzał brodę i wsłuchiwał się chciwie w słabe, zaledwie dosłyszalne, odgłosy kroków na górze, bo pokój chorej był tuż nad kancelarją. Słyszał, a raczej czuł, że doktor usiadł przy łóżku, bo jakieś słabe drgnienie przebiegło sufit; zmąciły mu to wyczuwanie dźwięki fortepianu, które się rozlegały bardzo głośno.

— Cicho tam!— krzyknął z gniewem, tupiąc nogą.

Staś uśmiechał się, — przecież grająca przez sufity usłyszeć nie mogła; ale pochylił głowę nad papierem, bo Orłowski znowu zaczął dyktować i, nie skończywszy, pobiegł do mieszkania, słuchał chwilę pode drzwiami i szedł znowu na peron, spacerował po nim, nieznacznie spoglądając na okna.

Doktor skończył rozbieranie się, przyczesał siwawe włosy i zapukał do chorej.

— Proszę!— ozwał się dźwięczny, silny głos.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy wchodził do pokoju. Podniósł story do połowy, opatrzył znowu, czy okna i lufciki domknięte, i dopiero usiadł przy łóżku.

— Jakże się pani czuje? — pytał cicho, odjąwszy respirator.

— Dobrze, chciałabym wstać — odpowiedziała, zadrżawszy, gdy dotknął chłodną dłoń jej ręki.— Tak koniecznie chciałam widzieć doktora, że miałam już pisać dzisiaj — mówiła jakimś dziwnym, prawie altowym głosem, który się jej chwilami przerywał i chrypiał niemile; wtedy

przestawała mówić, oddychała głęboko i głos powracał, ale w wielkich czarnych oczach migotał ból wysiłku. Uniosła się nieco, skręciła w grecki węzeł całą masę przepysznych rudawo-blond włosów, rozsypanych niby snop dojrzałej pszenicznej słomy po pościeli, i mówiła:— Czuję się zupełnie zdrową. W gardle tylko i w piersiach doznaję jeszcze chwilami piekącego bólu, no i głosu mi często brakuje, ale czuję, że się to coraz rzadziej zjawia. Tak, jestem zdrowa, ale się nudzę straszliwie. Doktor zostanie na obiedzie? Mam prośbę do pana... — szepnęła ciszej i fala krwi przyciemniła na mgnienie jej kredowo-błądą twarz.

— Zostanę, zaraz pani służę. — Wstał i poszedł do kuchni; oczy Janki biegły dotąd za nim, aż zniknął za drzwiami, i gdy po chwili wrócił, zawisły mu badawczo na twarzy.

— Kazałem dawać obiad wcześniej, żeby zdążyć na pociąg— usprawiedliwiał się, siadając.— Jeszcze raz zbadam panią dokładnie, ale jednocześnie mogę słuchać...

Janka spojrzała na niego z wdzięcznością, bo nie miałaby odwagi powiedzieć mu swojej prośby, gdyby czuła jego przenikliwy wzrok na sobie.

Doktor opukiwał ją, oglądał, pytał o niektóre szczegóły, takie, że Janka odwracała mimowolnie twarz do ściany, przycinała usta i odpowiadała cicho, że ledwie dosłyszał. Konsultacja trwała długo, bo badał chorą sumiennie.

— Czy ojciec wie wszystko?.. wszystko?..— powtórzyła cicho.

— Zdaje mi się, że nie.— Wyprostował się, żeby odetchnąć i obrzucił ją spojrzeniem, pod którym oczy jej pociemniały i pochyliła głowę niżej.

— Czy powinien wiedzieć? — pytała wolno, z trudem hamując wzruszenie. — Pana się radzę, jako naszego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela, który mnie zna od dziecka, a zrobię tak, jak mi pan poradzi.— Milczała

dosyć długo, kąty ust zaczęły drgać w jakimś bolesnem ściągnięciu. — Nie chciałabym kłamać, co bądźby później nastąpiło, powiedziałabym, ale... boję się... On mnie nienawidził i nie miał racji, ale gdyby, gdyby wiedział teraz o wszystkim, to... — zacisnęła kurczowo palce, głosu jej brakło, przycisnęła ręką pierś, bo ten zwykły, piekący ból rozgorzał w niej niby zarzewie i palił straszliwie: dyszała ciężko, ale po chwili cichym a szorstkim z powstrzymanego wzruszenia głosem, ciągnęła dalej: — mnie ojca żal, bardzo mi żal.

— To dobrze; on panią kocha, po warjacku może, ale ogromnie.

Olśniła ją nagle myśl jakaś gnębiąca.

— Czy ojciec zupełnie jest zdrow? — zapytała prędko i wpiła się oczyma w doktora.

— Nie... i dlatego trzeba go oszczędzać, nie wzburzać, bo...

— Co? powiedz pan otwarcie; jestem dosyć silna na usłyszenie zupełnej prawdy, a nie tylko pragnę jej, ale potrzebuję ją usłyszeć koniecznie. Tyle przypuszczam, tyle symptomatów dziwnych, prawie przerażających widzę, że boję się o niego.

— Tak, dobrze nie jest, bo jego despotyzm, zaciekłość i ta pewna dwoistość, na którą rozłamuje go powoli ta dwoista służba, jaką pełni... Mówili mi w wydziale o jego raportach...

— Czem się to wszystko może skończyć?— zapytała przerażona, bo doktor umilkł i odwrócił od niej twarz.

— Nie wiem, wiem tylko, że nie trzeba mu nic mówić, nic — powiedział krótko.

— A jeśli będzie chciał wiedzieć?— zapytała twardo, jakby już chciała rzucić całą prawdę w oczy.

— I wtedy powinna pani nie mówić nic. Prawda jest czasami zbrodnią, bo tak samo zabija. A jeśli ojciec nie

obchodzi panią nic, to trzeba powiedzieć, zabije go to odrazu i będzie pani miała później spokój i rozwiązane ręce. — Mówił prędko i gniewnie, nałożył zaraz respirator na usta i rzucił się na krzeselko.

Janka patrzyła długo na niego, po jej pięknej wychudzonej i zmizerowanej twarzy przewijały się najrozmaitsze uczucia: to ból, to gorycz przypominań, to niepokój i trwoga, to głęboka, ciężka apatia powlekała jej twarz, a oczy zaczynały świecić posępnie pod ciemnymi brwiami jakimś ogniem rezygnacji.

— Co pan myśli o mnie?— zapytała wreszcie. Zapragnęła usłyszeć ciepłe słowo pociechy i przebaczenia i współczucia; była gotową otworzyć serce, dać ujście dręczącym ją uczuciom, bólom i skargom; pragnęła teraz, w tej chwili, rzucić się na piersi czyje i na nich wypłakać wszystkie nędze całego życia, cały nagromadzony żal. Czuła się tak słabą w tej chwili, bezbronną, a skrzywdzoną, że płacz byłby sprawił jej radość i ulgę; ale doktor długo milczał, pociągał się za nos, przyglądał włosy, patrzył w okno, wreszcie odjął respirator, ścisnął jej dłoń i powiedział:

— Że jesteś nieszczęśliwa, że mi cię, pani, tak żal, jak córki własnej.

— O!... doktorze... o! doktorze...— Nie mogła nic więcej powiedzieć, oczy zaszły jej łzami, przycisnęła jego rękę do ust i opadła na poduszki bezwładnie, tylko łzy, jak jasne, drogie, wyhodowane przez cierpienia perły, posypały się z oczu— i taki nagły a wielki rozlew żalu poczuła w sobie, że nie widziała wychodzącego doktora, że nie słyszała nic i nic nie pamiętała. Leżała bez ruchu i prawie bez przytomności; w każdym swoim atomie czuła łzy i niewypowiedziany ból, co przepalał ją całą.

Ocknęła się wtedy dopiero, gdy służąca na małym stoliczku, przy łóżku, postawiła obiad.

— Niech Janowa zabierze zpowrotem, nie chce mi się jeść.

— Adyć ode wczoraj ani krzynki panienka nie zjadła jeszcze. A kto to słyszał tak się morzyć głodem. Adyć i ja, panienko, niezdrowa, o nie!.. w dołku mnie cosik tak ściska, że jaże mnie mroczy. — Spuściła story, odniosła obiad i znowu zaczęła narzekać bolejącym głosem. — I na to bolenie żadnego leku niema, a możeby się to lekarstwo zdało, co panienka używa?

— Niech się Janowa wódki napije, to zaraz przejdzie choroba.

— Wódki!.. a prawda, panienko. Wódki! a widzieliście moi ludzie! wódki! a to się przed dobrodziejem odrzekłam, bo to i moja pani córka tego chciała, ale że panienka rzekła, że pomoże na ściskanie, to juści być prawdą musi.

— Niechże Janowa idzie sobie — zawołała zniecierpliwiona.

— Idę! idę... tak samo nieraz mówi moja pani córka. Idę! idę... wódki! aby ino *kusztyczek* niewielki i na lekarstwo, to grzech być nie musi. — Wyszła, i zaraz rozległ się skrzyp otwieranego kredensu i szcęk szkła.

Janka nasłuchiwała słabo brzmiących odgłosów rozmowy w saloniku, prowadzonej przez ojca.

Doktór zjadł obiad, nie czekając na Orłowskiego, który przyszedł pod koniec dopiero i rozpytywał o Jankę.

— Zupełnie dobrze, może wstać, zresztą, wszystko, co potrzeba robić i używać, tutaj napisałem, masz kartkę.

Orłowski chciwie przebiegał oczyma przepisy.

— Dobrze jest, ale nie krzycz na nią, nie warjuj, bo recydywa dla niej, to śmierć— mówił doktor, a widząc, że twarz Orłowskiego czerwienieje, że zaraz wybuchnie gwałtownym tonem sprzeczki, założył respirator na usta i usiadł przy stole.

— Ja ją zabijam, to przeze mnie chora? krzyczę na nią, co?

— Daj spokój, bo w wielkiej części winieneś wszystkiemu — napisał doktor na kartce ołówkiem.

— Więc i ty mówisz, że ja winienem, że ja! — zakrzyczał Orłowski i, zmiąwszy kartkę, rzucił ją na ziemię, rozdeptał, kopnął i stanął na środku pokoju z rozłożonemi rękoma, jakby chciał głośno zaprzeczać, ale usiadł gwałtownie przy oknie, zaczął bębnić po szybach, otworzył lufcik i krzyknął do robotnika, stojącego na peronie:

— Sygnał od Strzemieszyc, nie słyszałeś, bałwanie, że osobowy wyszedł! — zamknął z trzaskiem lufcik, powrócił na dawne miejsce, zapalił papierosa i natychmiast ze złością go rzucił w piec i zaczął chodzić; po twarzy przelatywały mu jakieś płomienie, targał brodę, poruszał ramionami, zataczał oczyma niespokojnie, ale omijał twarz doktora.

— Nieprawda! Co tylko robiłem, jak postępowałem z nią, wszystko miało na celu jedynie jej dobro. Nieprawda, a tak! — wołał podniesionym głosem, uderzając w stół pięścią.

— Dla jej dobra wypędziłeś ją z domu? — napisał doktor.

— Wypędziłem?.. tak, prawda... — jęknął Orłowski, rzuciwszy okiem na kartkę, i jakby go te słowa uderzyły i olśniły, cofnął się, spojrzał mętnie i usiadł cichy i zgnębiony.

— Prawda! — dodał ciszej nieco, i tak żywo przypomniał sobie tę scenę nieszczęsną, która tutaj, w tym samym saloniku, rozegrała się parę miesięcy temu, że przygasłem spojrzeniem powiódł dokoła i pochylił głowę, nie mogąc znieść surowego spojrzenia doktora.

— Ty jej nie znasz! — mówił znowu, wstając i chodząc wolno, i przystając mgnieniowo przy drzwiach. — Opowiem ci krótko. Na wiosnę oświadczył się jej Grzesikiewicz, znasz go, człowiek zupełnie porządny i bogaty.

— I cham zupełny, chociaż zewnętrznie ogładzony wykształceniem — napisał doktor.

— Mniejsza. Nie chciała iść za niego, tak się uparła, że nie pomogły prośby moje, powiedziała, że nie, i postawiła na swoim.

— Miała rację, bo go nie kochała.

— Miłość, co to takiego? głupstwo! — machnął pogardliwie ręką — nie dlatego: tylko chciała mi zrobić na złość, chciała postawić na swoim, i postawiła.

— A tyś także chciał postawić na swoim i zmusić! — pisał szybko doktor i podsunął mu kartkę.

— Tylko jej nie zmusisz! Być może, uniosłem się, no, może w rozdrażnieniu sprawiłem jej przykrość, ale czy powinna była zaraz, natychmiast uciekać z domu, powinna była, pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nami, porzucić mnie, ojca, dom? I poco? aby wstąpić do teatru!.. słyszysz, córka porządnego domu, moja córka, do teatru, do teatru! — powtórzył z przyciskiem.

— Wypędziłeś ją, musiała coś zrobić z sobą.

Orłowski aż skoczył, przeczytawszy te słowa. Oczy mu latały w orbitach, broda i usta trzęsły się od gwałtownego wzruszenia. Zaczął przygryzać brodę i biegać po pokoju wkółko, jak zwierzę w klatce, potem usiadł zpowrotem na fotelu, aż sprężyny zatrzeszczały. Zapanowało chwilowe milczenie; przez okna przedzierał się brzęk przekładanych na stacji szyn, w szyby pluskał deszcz z dawną monotonią, a głuche, jednostajne dźwięki fortepianu sączyły się przez ścianę i rozpylały w powietrzu. Doktor spokojnie siedział i śledził muchy, marne, ostatnie, jesienne muchy, łązące leniwie po białym obrusie.

— Wypędziłem... ale ona poszła, ani się obejrzała, poszła i ani mi słowa jednego nie powiedziała na pożegnanie, poszła do teatru, na komedjantkę, pomiędzy bandę łobuzów i ladacznic, rzuciła mnie, ojca, dla nich... A niegodziwa, niegodziwa, niegodziwa! — syczał i targał sobie mundur na piersiach i dygotał cały. — Wypędziłem... a ona przez cały